

Autor: Radosław Marciniak

Opublikowane w: Gazeta Horyniecka nr 16, 24 lipca 2008

Galopem wokół Polanki

Podróż

Był wtorek 29 kwietnia 2003 roku. W stadninie Kapriola w Lublinie ładowaliśmy Bajrama do przyczepki. Nie chciał wejść. Opierał się, cofał przestraszony „czarną dziurą” wnętrza koniowozu. Minęło kilkanaście minut, a my nadal nie mogliśmy poradzić sobie z tym młodym, krzepkim, małopolskim ogierem. Delikatne zachęty od stojących po jego bokach Krzyśka i Artura nie pomagały. Doświadczeni panowie zdecydowali się więc na metodę z dwiema lonżami. Zajęło nam to jeszcze dłuższą chwilę, ale ostatecznie koń wszedł i to już bez większych protestów.

Zmęczony i w lekko przemoczonym – padającą mżawką – ubraniu zasiadam za kierownicą Jeepa z przyczepką. Przewidywałem, że pokonanie stu osiemdziesięciu kilometrów dzielących mnie od Polanki zajmie około trzech i pół godziny. Jadę delikatnie, szczególnie na zakrętach i łukach. Unikam dużych przyspieszeń i gwałtownych hamowań. To wymusza pilnowanie większych odstępów do poprzedzających pojazdów i ogólnie ostrożną jazdę. Co pewien czas zatrzymuję się i sprawdzam co dzieje się z tyłu. Bajram jednak zachowuje się poprawnie i tylko zdziwiony wysuwa głowę przez otwarte boczne drzwiczki przyczepy, jakby chciał zapytać „wysiadamy już? Jeśli tak, to otwórz drzwi z tyłu, bo tędy się nie przecisnę!”. Z pewnym zaskoczeniem stwierdzam, że zakręt w Cieszanowie na Brusno osiągnąłem już po dwóch i pół godzinie. Powiniennem zatem na miejscu być wcześniej. Niestety to tylko złudzenie. Stan nawierzchni tego odcinka drogi nie daje takiej szansy bez ryzyka poobijania mojego podopiecznego. Jeszcze gorzej jest na polnej drodze prowadzącej ze wsi Polanka do stadniny. Te ostatnie trzy kilometry zabierają mi ponad dwadzieścia minut.

Otwieram boczne drzwiczki i tylną klapę przyczepy. Bajram już wierci się napierając na blokadę. Odczepiam uwiąz i zakładam go na jego kark, a następnie idę do tyłu i zdejmuję blokadę. Stojąc obok przyczepki kładę dłoń na zadzie konia, aby nie wypadł „jak z procy”. Udaje się, Bajram wycofuje się w miarę spokojnie, a ja mam szansę złapania końcówki uwiąz. Gdy tylko jest poza przyczepką, rozgląda się nerwowo, obiega mnie dookoła i ciągnie obwąchując, jak przystało na ogiera, wszystkie okoliczne końskie odchody. W końcu obieramy właściwy kierunek do stajni. Bajram napuszczony i ze stukotem podkutyh kopyt wchodzi do budynku, zajmując należny mu, dobrze zakratowany pierwszy boks. Rozebrałem go ze wszystkich możliwych ochraniaczy podróżnych, a on obiegił raz i drugi galopem swoje dwanaście metrów kwadratowych zanim uspokoił się i zajął wodą oraz podrzuconym mu sianem. Dumny z mego pięknego konia zaraz po obiedzie zabieram go na lonżę, aby pokazać wszystkim zainteresowanym. Ogier jakby wiedział o co chodzi. Pięknie się stawia, ganaszuje, układając szyję w łabędzi kształt, cofa pysk oraz wysuwa do przodu czoło i uszy. Niespokojnie galopuje po okręgu. Dobiegające ze stajni rzenie jeszcze bardziej go podnieca. W końcu w tym momencie jest jedynym ogierem na Polance.

Na jazdę miałem wybrać się dopiero następnego dnia. Czuję lekkie obawy. Co prawda już od blisko roku jeździłem samodzielnie w tereny, ale były to godzinne jazdy po dawnym poligonie, w stosunkowo niedużej odległości od stajni. Teraz zaś miałem zapuścić się samodzielnie w lasy, które nie raz już widziałem, ale zza ogona prowadzącego konia, a to nie wpływało mobilizująco na zapamiętywanie ścieżek i kierunków.

Postanowiłem, w ramach urlopu, zajmować się Bajramem zupełnie samodzielnie, a więc słać mu, karmić go i poić bez pomocy obsługi stajni. Tak zresztą robię cały czas, jeśli wyjeżdżam z moimi końmi poza macierzystą stajnię. Pozwala to na znacznie bliższy kontakt

z tymi wspaniałymi zwierzętami. Przecież jazda konna nie zaczyna się na grzbiecie konia, ale na ziemi w jego boksie, gdy prowadzi się podstawowe zabiegi pielęgnacyjne. Dzięki temu poznają charakter, nawyki i potrzeby oraz oceniają codzienny stan zdrowia podopiecznych. Dodatkowo czynności te stanowią dla mnie doskonały relaks, przy okazji wyrabiający znaczną dozę samodzielności w obsłudze koni oraz zwiększają zaufanie do nich. Wieczorem więc, około pół do siódmej poję go ponownie, ścielę boks słomą oraz sypię owies, a także rzucam pół kostki siana. Reszta dnia upływa na rozmowach w kominkowym. Przed dziesiątą wychodzę jeszcze do stajni. Dookoła ciemno, polana jest otoczona czarną ścianą lasu, niebo rozgwieżdżone i tylko z okien budynku mieszkalnego pada jaśniejsza poświata. Dolewam Bajramowi wody i zmęczony wrażeniami mijającego dnia wędruję do łóżka.

Samotne jazdy

Szósta czterdzieści pięć. Dzwoni komórka, „kto u diabła o tej porze?” – pytam sam siebie i uświadamiam sobie, że to budzik. Zwlekam się z łóżka i od razu wkładam robocze, konne ubranie. Poranek zaczyna się od pojenia Bajrama, czyszczenia boksów i siania, potem zadawania owsa i siana. W ciągu dwudziestu minut kończę pracę i spokojnie wracam pod prysznic, a potem do łóżka w błogim oczekiwaniu na dziewiątą, czyli na śniadanie. Po jedzeniu przebieram się i idę osiodłać Bajrama. Tego dnia włączymy się we dwóch po bliskiej okolicy. Codziennie jednak próbuję coraz to innych ścieżek i coraz to szybszej jazdy.

Kłopot powstał trzeciego dnia, gdy postanowiłem pojechać nad strumyk i w efekcie musiałem przekroczyć jego nurt. Siedzę w siodle i próbuję skłonić konia do wejścia w wodę, ale Bajram za żadne skarby świata nie chce wejść. Próbuję mocniej przyłożyć łydki i wypchnąć go dosiadem do przodu, w strumień. Posuwa się o krok, ale zaraz cofa kopyta, jakby prąd go poraził. Przysiada na zadzie i obraca się. Nie popuszczam mu i ponownie kieruję go na strumyk. Udaje mi się zbliżyć do samego lustra wody. „Jest płytko może dziesięć centymetrów, dobrze widać dno, nie ma się czego bać” mówię do niego już mocno podenerwowany. Nie widać reakcji, stoi zaparty na czterech kopytach i ani drgnie do przodu, a każda próba posunięcia go o krok w przód kończy się dwoma krokami w tył. W końcu używam palcata. Przykładam łydki, a raczej uderzam piętami, napieram dosiadem i uderzam batem po zadzie. Posuwa się krok naprzód i staje dęba, jednocześnie odwracając się do tyłu i ruszając galopem. No to mam za swoje, myślę sobie. Jeszcze tylko brakuje, aby przewrócić się ze mną na grzbiet, albo mnie poniósł. Opanowuję go jednak na trzecim foule i zawracam. Tym razem próbuję pokonać strumień z kłusa. Wyższe tempo powoduje, że dotyka kopytem lustra wody i odskakuje w bok jak oparzony. O mało nie rozstaję się z siodłem. Chwila odpoczynku dla nas obu. Zastanawiam się co robić. Mogę ewentualnie zejść i przeprowadzić go przez strumień, może za mną pójdzie, ale to wymaga zamoczenia butów. Nie jestem gotowy do takiego poświęcenia. Próbuję jeszcze raz bez efektu i po kilkunastominutowej utarczce poddaję się. Zrezygnowany wracam tą samą drogą. Bajram idzie zadowolony, jakby dumny z siebie. A ja. Ja właściwie też się cieszę, że ... nie spadłem mimo tych jego fanaberii. Do samego końca tego pobytu nie udało mi się skłonić Bajrama, aby wszedł do wody. W galopie na ścieżkach i drogach musiałem dobrze uważać na wszelkie kałuże, gdyż Bajram je omijał uskakując, i nie troszcząc się o los jeźdźca.

Przedostatniego dnia pobytu zaistniało zdarzenie, które sprawiło, iż znowu postanowiłem aktywniej ćwiczyć jazdę konną, a nie tylko „wozić się” w siodle. Wybrałem się trasą „na betony” i zaraz na końcu parowu skręciłem w lewo na drogę wiodącą łukiem wzdłuż ściany lasu w kierunku Starej Huty. Pogoda była piękna, droga dość równa, szeroka i mimo zakrętów oraz gdzieniegdzie wygniecionych kolein po ciągnikach wydawała się bezpieczna.

Pędzimy solidnym galopem. Pochylny w pólśladzie nad końskim karkiem mijam kolejne boczne, prowadzące do lasu, drogi. Rozluźniony patrzę na mijane drzewa i nagle potężna siła wyrzuca mnie w prawo. Opieram się mocno na prawym strzemieniu i przytrzymuję lewej wodzy. Lewa stopa samoistnie uwalnia się ze strzemienia. Dziwne,

galopowałem skrajem lasu, a teraz jestem w jego środku. Bajram, idący na dłuższej niż należy wodzy, ostro zakręcił w lewo w jakąś leśną drogę. Resztkami sił trzymam się lewej wodzy i grzywy, widząc po prawej stronie, leżące sągi drzew. Wyobraźnia podpowiada mi niechybne w nich lądowanie zakończone połamaniem wszystkich kości. Brak siły odśrodkowej po pokonaniu zakrętu pozwala mi wrócić wreszcie w siodło. Wkładam nogę w strzemię, nie odzyskując wszakże kontroli nad koniem, a już nowe niebezpieczeństwo wyrasta przede mną. Nisko wiszące gałęzie objają mój toczek, a czasami twarz. Zza przymrużonych oczu i spod daszka toczka w odległości około dziesięciu metrów wylania się leżący ukośnie na drodze pień drzewa. Wybór jest prosty, albo skoczmy, albo się zatrzymamy. Problem jednak w tym, że ten wybór należy wyłącznie do konia. Wodze wciąż luźno spoczywają na szyi, ledwie przytrzymywane moją ręką opartą na karku i kurczowo zaciśniętą na grzywie. Ratuje się odruchowo odchylając do tyłu i szybko zbierając wodze oraz próbując je pociągnąć z zamiarem zatrzymania konia. Bajram niewiele sobie z tego robi.

Kolejny raz okazało się, iż ani nie wyczułem intencji konia, ani nie zdążyłem odpowiednio szybko zareagować, a przede wszystkim, że prowadziłem go w taki sposób, że bez żadnych szczególnych starań mógł wyjść spod mojej kontroli i zrobić to, co chciał. I zrobił ... skoczył. Na szczęście skoczył czysto, nie zahaczając o pień lub jego gałęzie. Nie potknął się też przy lądowaniu. Skok był płynny i, lekko pochyliwszy się do przodu, nie straciłem równowagi. Na kawałku prostej odzyskałem wreszcie kontrolę, przeszedłem do klusa, a po chwili do stępa. Na powiekach i czole poczułem ciekący spod toczka pot. Pot wywołany zarówno zmęczeniem, jak i wrażeniem – nie wiadomo, z której przyczyny było go więcej. Wszystko przebiegło tak szybko, że nie zdążyłem się porządnie przestraszyć, ale owego dnia miałem już dość galopów. Zawróciłem stępem w stronę pokonanej przeszkody. Pień zwalonego drzewa był przyozdobiony solidnymi konarami, na szczęście natura układając konary pozostawiła sporą przerwę, przerwę wybraną przez Bajrama. Przeszkoda liczyła sobie blisko dziewięćdziesiąt centymetrów wysokości. Właściwie koń powinien się zatrzymać, ale widocznie wszystko mu pasowało. Być może również i to, że trzymałem się go nogami ile miałem sił, przykładając tym samym mocno łydki. Jednocześnie chcąc go zahamować podciągnąłem wodze, co spowodowało jego zdecydowany atak na przeszkodę. Przetrwałem, ale uznałem, że chociaż zawodnikiem już i tak nie będę, to trzeba się jednak nauczyć lepiej skakać, aby przetrwać nie tylko ten jeden raz.

Zaladunek

Następnego dnia, w sobotę, już zegnaliśmy się z Polanką. Sprzęt i bagaże załadowane odpowiednio do samochodu i przyczepy, jeszcze tylko wprowadzić Bajrama i w drogę. Ostatni punkt programu okazał się jednak niezwykle trudny. Bajram nie chciał wejść. Stał zaparty, albo po podejściu na dwa kroki do przyczepy cofał się i „zabawa” zaczynała się od początku. Próbowałem nawet stawiać mu ręcznie kopyta na pochylni przyczepy. Wreszcie, o dziwo, po kilkunastu minutach wszedł. Niestety pomagający mi Sebastian nie zablokował odpowiednio szybko wyjścia za koniem. Wyszedłem przednimi drzwiczkami, aby obieć przyczepę, i zablokować sztabą odwrót, ale było już jednak za późno. Bajram zalękniony brakiem przy nim człowieka, przestraszony kantarem trzymającym go za łeb naparł do tyłu. Sznur uwiąz, tylko zakręcony na uchwycie, rozluźnił się, a Bajram cofnął się i zaniepokojony wyskoczył z przyczepy. Nie pozwolił się ponownie wprowadzić przez następną godzinę. Ani prośby, ani groźby, ani różne „patenty” nie pomagały. Kiedy szarpiąc się ze mną urwał łożę, która przesuając się poparzyła mi ramię, poprosiłem o pomoc znajdujących się przejazdem jeźdźców. Grupa koniarzy urządziła sobie wielodniowy rajd. Samochód ze sprzętem jechał szosami, a oni polnymi i leśnymi drogami w siodłach i strojach w stylu western przemierzali konno południowo-wschodnią Polskę. Podjęli wyzwanie. Niestety Bajram walczył i dwugodzinne próby nie dały rezultatu. Koń spływał potem, ludzie byli zmęczeni, a widzowie zdegustowani. Ja zaś zrozpaczony. Nie pomagały żadne metody,

ani na dwie lonże, ani z batem, ani z zasłoniętymi oczami. Nic. Po prostu koń stwierdził „po moim trupie” i nie zamierzał wejść do koniowozu. Rad nie rad odprowadziłem go do boksu i poszedłem odpocząć oraz zjeść obiad. O tej porze powinienem był już dojeżdżać do Lublina, a ja nie tylko jeszcze nie wyruszyłem, ja nawet nie byłem pewny kiedy i czy w ogóle tego dnia wyjadę. Po obiedzie podprowadziłem przyczepę tyłem wprost do korytarza stajni. Ogrodziliśmy boki, aby Bajram nie miał innego wyjścia jak tylko wejść do przyczepy. Tak przygotowany z Sebastianem i Ewą w odpowiedniej odległości za zadem Bajrama próbowaliśmy skłonić go do wejścia metodami pokojowymi. Cierpliwie do niego przemawiałem zachęcając ciepłym głosem. Podprowadzałem go bliżej pochylni, pozwalałem ją wachać i nie hamowałem ewentualnego cofania. Podawałem garści siana lub marchew, którą cwaniak brał tak długo, jak długo mógł sięgnąć pyskiem bez stawania na pochylni. W końcu zrezygnowany stanąłem oparty o przegrodę i patrzyliśmy sobie z koniem głęboko w oczy. Ja w oczach miałem rezygnację, on zaś lęk i jednocześnie zaciekawienie. W końcu Bajrama pewnie litość wzięła, bo ku zaskoczeniu nas wszystkich, po kilkunastu minutach kręcenia się i cofania zrezygnował z oporu i wszedł zaskakując nas swoim płynnym ruchem do przodu. Tym razem nie było problemu z zamknięciem.

Jazdy z Arturem

Uparcie walczyłem o to, aby choć trochę nauczyć się skakać. Stanowiło to dla mnie synonim prawdziwej umiejętności jazdy konnej. Bajram jednak był młodym i niedoświadczonym koniem, a mając równie nieobeznanego z tematem jeźdźca, do tego nie pierwszej młodości, niewiele mógł na tym polu wskórać. Postanowiłem więc poszukać bardziej doświadczonego konia. Na imię ma Bumer, wówczas miał pięć lat i startował już wielokrotnie w zawodach. Szczupły, wysoki małopolski wałach, ze sporą domieszką pełnej krwi angielskiej. Był u mnie już od kilku miesięcy, gdy pewnego listopadowego dnia tego samego – 2003 roku, wspólnie z Bajramem, odwiedził Polankę. Miał to być tydzień treningu skokowego połączonego z rekreacją. Przyjechał ze mną Artur, trener i zawodnik z II klasą sportową i osiemnastoletnim doświadczeniem udziału w różnych zawodach w tym zagranicznych. Dzień po przyjeździe, we środę, siódmego listopada, błędząc po okolicznych lasach trafiliśmy „od tyłu” do Brusna. Następnie dotarliśmy do szosy prowadzącej w kierunku Horyńca i zawróciliśmy.

Przed nami wiała się ponad dwukilometrowej długości polna droga, którą tu dotarliśmy, a więc o sprawdzonym podłożu. Artur zarządził galop równoległy ze zmiennym tempem. Ruszyliśmy. Tętent kopyt odbijał się echem po okolicy. Słońce przygrzewało nas w karki, a obłoczki kurzu znaczyły trasę galopu. Konie lekko spocone wydzielają specyficzną, jakże przyjemną woń. W Bumerze, na którym jechałem (Artur na Bajramie), burzyła się owa domieszka pełnej angielskiej krwi wyścigowych koni. Wolny galop łeb w łeb z konkurentem nie bardzo mu odpowiadał, a Artur nakazał: „trzysta metrów w tempie sześćset (metrów na minutę) i zebranie do tempa czterysta na kolejne trzysta metrów”. Nie miałem problemów z wyciągnięciem galopu, ale już z utrzymaniem stałego tempa i skręcaniem konia nie szło tak łatwo. Pochylny w półsiadzie śledziłem otwierającą się przede mną drogę, obserwując jednocześnie kątem oka łeb galopującego obok Bajrama. Artur dyktował tempo, a ja miałem się dostosować. Brałem poprawkę na każdym łuku w zależności od tego, czy byłem po jego wewnętrznej, czy po zewnętrznej. Wstrzymywałem Bumera delikatnie przytrzymując wodze, a każdą moją niedelikatność koń kwitował podrzuceniem łba i szarpnięciem wodzy oraz zwiększeniem tempa. Od dawna wiedziałem, że ciągnięcie Bumera za wodze w celu zatrzymania rodzi dokładnie odwrotny skutek. Reagował tylko na delikatne półparady, czyli lekkie przytrzymania i oddanie wodzy. Kolejna komenda Artura zwalnia nas do tempa trzysta. Teraz mam inny problem, jak nie dopuścić do przejścia konia z galopu do kłusa. Nieco bardziej siadam w siodło i mocniej przykładam łydki. Wyczuwając utratę impulsu u Bumera poklepuję go palcatem po łopatce. Skutek jest pozytywny, wolniutko nadal

galopujemy. Oglądam się za siebie, tysiąc metrów już za nami. Taka jazda łeb w łeb jest olbrzymią przyjemnością, szczególnie, gdy daje się zapanować nad wierzchowcami. Obaj jednak mamy ochotę na ostrzejszy galop. Artur już bez komendy słownej coraz bardziej zwiększa tempo, a ja za nim. Gdybym miał licznik widziałbym płynnie przesuwaną się wskazówkę szybkościomierza: czterysta, pięćset, sześćset, siedemset, osiemset metrów na minutę. Konie pędzą płaskim cwałem wyciągając szyje i wyrzucając przednie kopyta daleko przed siebie. Leżymy na ich karkach. Spod daszka obserwuję nierówności i łuki drogi. Szybkie, rytmiczne staccato kopyt oraz migające krzewy rosnące przy drodze pokazują jak dużą prędkość rozwinęliśmy. Mijamy rozwidlenie do drogi na lewo, potem drogę po prawej. Jestem o pół długości szyi konia za Arturem. Łuk pozwala mi zrównać się z nim. Pobrzękują uderzające o siebie strzemiona jeźdźców. Czuję, że Bajram napiera w zakręcie ciałem na Bumerę. Ich zady się dotykają. Ja czuję nacisk kolana Artura na moje kolano. Przez moment wspólnie, w jednym rytmie konie wybijają czterotakt cwału. Wychodzimy na prostą. Tu już nie mam szans. Dosiad Artura, jego równowaga są o niebo lepsze od mojego i Bajram krok po kroku wysuwa się przed Bumerę. Zbliżamy się do ostrego zakrętu w lewo. Pamiętam, że dalej jest jeszcze około trzystu metrów i szosa na którą lepiej nie wyjeżdżać galopem. Odchylam się w siodle, podciągam wodze, Artur robi to samo i zwalniamy. Konie wyżywszy się w galopie nie protestują, więc bez problemu obniżamy tempo o połowę. Wilgotne karki rumaków zaczynają zabielać się pianą. Popracowały solidnie. W zakręt wchodzimy wolnym galopem i przechodzimy do kłusa. Spoglądam na Artura, jest bez czapki. Zwiąło mu ją w czasie galopady. Nie wracamy, co tam czapka, ale co to była za jazda.

Następnego dnia zamieniliśmy się końmi i pomknęliśmy Highwayem, potem przez Starą Hutę niemal na Dahany. Blisko cztery kilometry galopu w tempie pięćset pięćdziesiąt było sporym wysiłkiem zarówno dla koni, jak i dla mnie jako jeźdźca. Te siedem minut galopu spowodowało ból mięśni łydek, tak że miałem dość jeszcze przed końcem drogi. Na trasie wykonywałem ćwiczenia. Miałem wstrzymywać konia, gdy Artur odjeżdżał, a wiadomo było, że Bajram będzie chciał gonić Bumerę, miałem zwiększać tempo i wyprzedzać Artura, szukając dogodnego momentu i miejsca do bezkolizyjnego przejścia. Wreszcie na trasie czekały nas niespodzianki. Oto na piaszczystej drodze galopując pod górę tuż za Starą Hutą, gdy akurat ja prowadziłem, natknęliśmy się na ciągnik z przyczepą. Niewiele miejsca miałem do minięcia się z nim, ale Bajram zachował się prawidłowo i spokojnie, więc bez kłopotów pogalopowaliśmy dalej. Gdzieś w lesie wpadłem w błoto. Bajram pośliznął się, upadł na napiętki, ale obniżył również zad i błyskawicznie uniósł się galopując dalej tak, że przetrwałem w siodle. Zmęczeni wracaliśmy najpierw długim kłusem, a potem stępa do stajni.

Skoki

Dzień później na obu koniach ćwiczyłem skoki. Artur pokrzykiwał „równe tempo, nie za szybko, wyprostuj go!” Skakałem z kłusa. Nie wolno mi było pozwolić Bumerowi przejść do galopu przed przeszkodą, dopiero w naskoku. Musiałem prawidłowo wyjeżdżać zakręty, czyli dbać o regularność łuku, utrzymywać odpowiednie tempo i rytm jazdy oraz prawidłowo reagować w skoku. Zaczęliśmy od koperty, czyli dwóch skrzyżowanych na wysokości sześćdziesięciu centymetrów drągów. Skoki z kłusa są trudniejsze niż z galopu, ale odbywają się w mniejszym tempie, co może lepiej wpływać na psychikę nieco lękającego się jeźdźca. Ja oczywiście się nie lękałem, a nawet jeśli, to i tak bym się nie przyznał. Poza tym chciałem szybciej i wyżej. Przeszkoda więc „rosła” jako stacjonata do stu centymetrów i przeszliśmy do galopu. Potem przeszkoda „się poszerzyła” czyli stała się okserem, niezbyt szerokim, ale jednak to już nie stacjonata. Stacjonata jest przeszkodą imitującą pojedynczy płot, a okser to tak jakbyśmy mieli za jednym skokiem pokonać dwa płoty przeskakując np. z jednego pastwiska na drugie, przy okazji pokonując rozdzielającą je drogę. Takie przeszkody dochodzą do wysokości stu sześćdziesięciu centymetrów i szerokości stu osiemdziesięciu

centymetrów. Ten rozmiar jest oczywiście zarezerwowany dla mistrzów świata, a nie dla mistrzów podwórka. Próby na Bumerze poszły dobrze, bez specjalnych błędów, bez odmów i zrzutek. Następny w kolejce był Bajram. Rozgrzałem i rozprężyłem konia stępując przez kilkanaście minut, potem kłusując i galopując. Zabawa zaczęła się od początku czyli od koperty. Bajram skakał bez zrzutek, ale stukał w przeszkody, a ja co rusz miałem kłopot z równowagą. Wreszcie Artur ustawił okser o wysokości stu dziesięciu centymetrów, szeroki na sto dwadzieścia. Galopowaliśmy równo w tempie około trzysta pięćdziesiąt. Staralem się w pełnym dosiadcie nie zakłócać równowagi Bajrama. Pilnując, aby koń nie ściał łuku na dojeździe do przeszkody. Po wyjściu z zakrętu miałem jeszcze trzy foule do przeszkody. Widziałem, że odległość pasuje idealnie. Bajram szedł chętnie i dynamicznie. Prawie nie poczułem odskoku. Uniosłem się lekko w siodle pochylając się nad szyją i przesuwając ręce z wodzami w kierunku pyska konia. Przelecieliśmy płynnie nad przeszkodą. Ogier pięknie wygiął się w łuk obniżając pysk za ostatnim drągiem i miękko wylądował na przednich nogach, a ja już odchylałem się w siodle. To było wspaniałe. Właśnie tak powinien wyglądać idealny skok. Zadowoleni skończyliśmy trening. Na Bajramie nigdy nie udało mi się powtórzyć takiego skoku.

Zagubieni

Ja na Bumerze, a Artur na Bajramie już trzecią godzinę błąkaliśmy się po lesie. Próbowaliśmy kilku dróg, ale żadna nie wydawała się prowadzić we właściwym kierunku. Mieliśmy wrócić po dwóch godzinach, a my nadal nie wiedzieliśmy gdzie dokładnie jesteśmy i którą drogą do stajni. Po prostu się zgubiliśmy. Nie spotkaliśmy nikogo w lesie, więc nie było kogo pytać o drogę. Zrezygnowaliśmy i pozwalamy koniom prowadzić. Przewodnictwo wyraźnie objął Bumer, Bajram nie protestował. Nasze interwencje ograniczały się do tego, aby konie nie próbowały maszerować przez las na przełaj. Po pół godzinie dostrzegliśmy znajomy punkt orientacyjny. Przed nami w odległości kilkuset metrów wyrosła betonowa ściana. Ta, która stoi za Starą Hutą. Wreszcie znajomy krajobraz. Ruszamy galopem. Niewiele zwalniamy na zakręcie. W kilka sekund przecinamy wieś i dalej pędzimy. Drogi się zbiegają. Zwalniamy do kłusa, to już Highway. Po ponad trzech i pół godzinie jesteśmy z powrotem w domu. Z budynku wychodzi Ewa. Z delikatną pretensją w głosie mówi „mieliśmy już was szukać. Wszystko w porządku?”. Potwierdzamy zgodnie i robimy porządek. Potem spóźnieni myjemy się i bez przebierania, głodni, samotnie bierzemy się za obiad.

Następnego dnia znowu jeździliśmy, a był to ostatni dzień pobytu. Jedenastego listopada w świąteczną niedzielę zapakowaliśmy konie oraz sprzęt i pożegnaliśmy Polankę, ale przecież nie na zawsze.

Radosław Marciniak